**Dar Czarnego Licha - W.Dobaczewska**

Był sobie chłop ubogi, któremu nic się nie wiodło, pomimo że bardziej robotnego człowieka na wiele mil by nie znalazł. Gruntu ów chłop miał niewiele, a i z tego jeno niewielki skrawek nadawał się do uprawy, reszta to były lotne piaski i bagno.

Toteż nędzarz był jakich mało i nazywali go chłopi Charłakiem.

Wyszedł raz Charłak jesienią swoje pólko pod oziminę zaorać. Orze. Konik chudy,

wynędzniały, ledwo się wlecze, pług wyszczerbiony na kamieniach zgrzyta, Charłakowi pot spływa po czole, choć to dzionek zimny, trochę dżdżysty, mżawka taka w powietrzu wisi, jak to bywa na jesieni.

Umęczył się Charłak, rad by już odpocząć, ale nie odpoczywa. Postanowił sobie do

południa pracować bez wytchnienia, a w samo południe wypocząć i suchego chleba

okrajec zjeść, co go za pazuchą chował.

Dobre postanowienie, kiedy siły po temu. Ubogi Charłak miał sił niewiele i głód doskwierał

mu bardzo. Na miedzy, pod krzakiem głogu, przytulnie się mu zdało i zacisznie.

Przystanął, chleb wyjął, obejrzał i medytuje:

,,Zjeść go zaraz czy nie zjeść? Dobry chlebek, choć czerstwy, bo z czystego żyta. Skórka aż pachnie... Ha! Słonku jeszcze do południa daleko... Zjem teraz nie dociągnę do wieczora.

Ech, zaczekam, a chleb tu na miedzy położę, żeby mnie nie kusiło".

Wziął szmatkę lnianą, kromkę pięknie zawinął, żeby ją mgła wilgotna nie przejęła, i ciężko westchnąwszy, znowu konia popędził.

Orał i orał, nie oglądając się ani na prawo, ani na lewo, ani na piaski, ani bagno.

A za tym bagnem, co do jego gruntu należało, ciągnęła się wielka trzęsawa, bezdenna, kożuchem błotnych traw zarosła. Mieszkały w niej różne Licha.

Więc żyło tam Licho Zielone, co przejeżdżających niedaleko gościńcem, rade po

moczarach wodziło, żabimi łapami za koła chwytano, że w błocie lgnęli, olbrzymią zieloną żabą koniom do pyska skakało, że konie przerażone szarpały się, uprząż targały, wozy łamały, a ludzie zdyszani, zmęczeni, udręczeni do samego świtu dobrej ścieżki odnaleźć nie mogli.

I żyło tam Sine Licho, co wąskimi strumieniami z moczarów do rzek i jezior spływało, zrywało rybakom [buczę](http://szidikur.blogspot.it/p/blog-page_5135.html)\* i [jazy](http://szidikur.blogspot.it/p/blog-page_5135.html)\*, dziurawiło kosze na ryby, plątało sieci i niewody.

I było jeszcze Licho Rdzawe, co zgniłą gorączkę w bagiennych moczarach chowało i na ludzi puszczało, co tam mieszkali w bliskości.

Ale najgorsze ze wszystkich było Czarne Licho. Najdokuczliwsze, najnieprzyjemniejsze, najbardziej natrętne. Ono jedno wyłaziło z trzęsawy, po uprawnych pole skakało, pod okna chat podchodziło, a wciąż wypatrywało, komu by coś spsocić, komu krzywdę wyrządzić, troski przyczynić. A tak zuchwale sobie poczynało, nie lękało się włóczyć nawet o południu, co ze wszystkich stwór jednym Południcom tylko uchodzi.

Otóż właśnie tego południa wylazło Czarne Licho z bagniska, na skraj moczaru się

wychyliło i za kretowiskiem przycupnęło, w gęstwie głogowego krzaka. Ślepiami pełga i patrzy dokoła.

Zobaczyło, jak chłop Charłak przystanął na miedzy, jak swój kawałek chleba obejrzał, jak nad nim pomedytował, a potem w czystą szmatkę lnianą zawinąwszy, na miedzy położył, a sam dalej orać począł.

Gdy tylko Charłak się odwrócił, złośliwa stwora zza krzaka wyskoczyła, okrajec nędzarza porwała i w kępę wikliny zapadła. Czeka, co będzie. Jak też Charłak kląć zacznie, gdy swoją krzywdę zobaczy?

Tymczasem słońce zza chmur siwych wyjrzało, cały świat rozjaśniło, a po mokrej ziemi rozpełzły się krótkie cienie drzew i krzewów.

Charłak na słońce popatrzył, ręką oczy zasłaniając, westchnął z ulgą, konia do mizernej trawki miedzowej podprowadził, a sam na miejsce szedł, gdzie był chleb zostawił.

Podchodzi... patrzy... chleba ani śladu, tylko szmatka rozwinięta leży.

Zafrasował się bardzo, w głowę się podrapał i sam do siebie głośno powiada :

— Któż to się na mój nędzny posiłek złakomił? Mnie biednego o głodzie do wieczora

zostawił? Chyba jeszcze większy nędzarz niż ja szedł tędy. Niechże mu pójdzie na zdrowie.

Zdumiało się Czarne Licho. Co za cudak taki? Już chciało nawet chleb znienacka

podrzucić, bo skoro poszkodowany nie złorzeczy, nie przeklina, to i uciechy z psoty nie ma żadnej. Ale naprawić krzywdę wyrządzoną — rzecz to niegodna Licha. Zarżało złym

śmiechem, zatupało koźlimi kopytami, potrząsnęło koźlimi rogami i w głąb trzęsawy smyrgnęło.

Tu na samym środku, w miejscu niezgłębionym, gdzie noga ludzka nigdy nie stanęła, nad brzegiem sennego jeziorka, sitowiem i rzęsą zarośniętego, na kępie łozy siedział Topielec, najstarszy i najważniejszy ze wszystkich stwór, co tę pustość przeklętą zamieszkiwały.

Siedział wygodnie rozparty na tronie uplecionym z łoziny, w płaszczu dostatnim, z

trzcinowych kit utkanym, w wieńcu z sitowia na łysej głowie, ciemnozielony na gębie, ogromny, brzuchaty, i drzemał w jesiennym słońcu.

Czekał, aż Licha, w różne strony rozesłane, powrócą i opowiedzą mu, co i gdzie zdziałały.

Gdy Czarne Licho przed nim stanęło, Topielec otworzył jedno oko, wybałuszył je po

żabiemu i pyta:

— No? Co tam?

Więc Czarne Licho skrzeczy:

— Chleb porwałem niedołędze jednemu, żeby go pozłościć, żeby klął i złorzeczył, co nam, Lichom, jak wiadomo, wielką radość sprawia.

Topielec zaciekawił się.

— No i co? Kogo przeklinał?

— Et, nikogo! To jakiś dziwny człowiek. Życzył zdrowia temu, co chleb zjadł. Topielec pokręcił żabią głową, wielką jak dynia.

— Zdrowia życzył, powiadasz? Bo pewnie chleba ma w bród. Co mu tam jeden okrajec!

— Ale gdzie tam! Charłak to nędzny, biedę klepie wraz z całą rodziną. Już on teraz do samego wieczora nic do gęby nie włoży.

Gdy to zielonożabi Topielec usłyszał, brwi groźnie nastroszył i jak nie wrzaśnie:

— A ty łajdaku zatracony! Nie wiesz o tym, że Biesy i Licha także swój honor mają?

Ostatni kęs chleba nędzarzowi porywasz? Pewnie, że to łatwiej niż sięgać do szkatuły bogacza! Wstydź się! Ludziom zostaw proceder taki! Biegnij co tchu i odnieś chleb tam, skąd wziąłeś.

Zafrasowało się Czarne Licho.

— Jakże odniosę? Już mi się cały rozkruszył i ptaki zdziobały. Pomyślał chwilę Topielec z palcem na nosie i powiada:

— Nie możesz odnieść, to odsłużysz. Idź mi zaraz do tego chłopa i zgódź się do niego za parobka. Masz mu służyć wiernie przez trzy lata, a gdy skończysz służbę — możesz do nas powracać.

Ano dobrze. Topielec był wszelkim Biesom i Lichom za przełożonego, więc go słuchać

musiały. Czarne Licho śmignęło tedy z powrotem, o ziemię się uderzyło, odmieniło się w urodziwego parobka i do Charłaka podchodzi.

A właśnie Charłak zjeżdżał już z pola, bo i słońce za dalekim lasem na spoczynek się układało.

Idzie Charłak zmęczony, koń jego też ledwie nogi stawia, pług za koniem się wlecze, na grudach ziemi podskakuje, szczerbi się o kamienie... a Charłak nie ma już siły, by go podtrzymać. Aż mu w oczach czarno z głodu i zmęczenia.

Wtem podchodzi chłopak nieznajomy. Oko zielone jak woda leśnego jeziora, brew czarna, włosy jak pióra krucze, czarny wąsik sypie się nad wargą malinową, płeć smagła, uroda —

krew z mlekiem. Spodobał się Charłakowi, choć mu z tych zielonych oczu niedobrze

patrzało. Ale Charłak tego nie zauważył.

Ów chłopak nieznajomy chwycił mocno pług za czepigi, do góry poderwał i mówi:

— Pomogę wam, gospodarzu.

Zaraz też na konia świsnął, a koń, jakby różdżką czarodziejską dotknięty, wyprostował się, parsknął raźno, głowę zadarł, nogi wyprężył i poszedł ku chacie niby młody źrebiec.

Zadziwił się Charłak.

— Cóżeś za jeden, że mi z pomocą przychodzisz?

— Wasz parobek, jeśli tego zechcecie. Zdumiał się Charłak jeszcze bardziej.

— A cóż tobie, chłopcze, do głowy przychodzi godzić się ze mną? Biedaczyna jestem, nie stać mnie na parobka. Zaledwie sam się przeżywię z żoną i dziatkami, a tu jeszcze zapłata...

Więc znów nieznajomy:

— Nie trzeba żadnej zapłaty. Już tak mi się ubrdało, gospodarzu, koniecznie wam służyć.

Nie wyganiajcie mnie, a z pewnością zadowoleni będziecie.

I tak natrętnie prosił, że aż niemal groźnie. Zląkł się Charłak po trosze. Któż to wie, co za jeden ów przybysz ze świata, z nieznajomej strony? Zbój może jaki, co przed sprawiedliwością ludzką uciekając, bezpiecznego schronu szuka? Odegnany, może mścić się będzie? Z takim lepiej żyć w zgodzie.

Tak sobie Charłak przemyślał, a głośno mówi:

— Niechże tam! Zostawaj, kiedy wola! Przebędziesz tydzień, spodoba ci się, to i na stałe się ugodzimy.

I zadomowiło się Czarne Licho u Charłaka.

Zaczął nowy parobek służbę od tego, że koniem się zaopiekował. Czyścił go, karmił, poił, a Charłak ani wiedział, skąd tamten paszę znosił.

Nie upłynęło tygodnia, a koń był nie do poznania. Krągły jak kluska, sierść na nim lśniąca, grzywa rozczesana, w podrygach chodzi jak dziewucha na weselu. W pracy nie ustaje, w zaprzęgu rwie się, że go utrzymać trudno, aż się sąsiedzi dziwują.

Skąd to Charłak takiego konia wziął? Kupić — nie kupił, bo przecie złamanego grosza nie posiada. Wymienić — też nie wymienił, bo to by się bez oszukaństwa nie obeszło, a

Charłak — chłop uczciwy. A zresztą i maść końska ta sama, i ta sama blizna na grzbiecie.

Dziwy, dziwy albo i zgoła czary!

A parobek zabrał się z kolei do krowy.

Jak ją zaczął po przydróżkach pasać, ziół jej ulubionych wyszukiwać, tak z wymionami jak cebry powracała do domu. Nie brakło już mleka Charłakowym dzieciom. Pobielały na

liczkach, potłuściały, poweselały jak wróble, gdy je słońce wiosenne oświeci.

Myśli Charłak:

„Dobrze się ten parobek sprawia. Chleba wiele nie zje, a sporo przyczynił dobrego.

Niechże zostanie na stałe".

Ucieszył się parobek z postanowienia takiego, bo jakżeby przed Topielcem stanął, rozkazu nie spełniwszy? U Biesów [subordynacja](http://szidikur.blogspot.it/p/blog-page_5135.html)\* sroga. Powiada parobek do Charłaka:

— Cóż, gospodarzu? Czas uchodzi. Ostatnia pora zaorać pole pod ozimą pszenicę.

A Charłak:

— Jużem zaorał i żyto wsiałem. Na ziemniaki do sadzenia wiosną też coś miejsca

zostawić trzeba. Nie mam wolnego zagonu.

— A onże spłacheć ku trzęsawie, to nie wasze ?

— Niby moje, ale co z tego? Moczaru orał nie będę.

— Pozwólcie mnie spróbować. Ja to uprawię.

— I koń nie zdoła.

— W moim ręku zdoła. A o ziarno na siew już ja się postaram.

Zgodził się Charłak. Niech ten cudaczny parobek robi, jak chce. Jeśli sam się o ziarno postara, straty nie będzie.

Zaorał parobek tęgi szmat moczaru, potem nocą poleciał z worem, wszystkim chomikom w okolicy spiżarnie obrabował i do myszy polnych zajrzał, że wrzask się uczynił i jazgot, i lament na pięć mil wokoło. Przydźwigał wór pszenicy jak złoto. Zasiał.

Sąsiedzi, patrząc na to, za boki się brali ze śmiechu.

— To ci wariat! Święte ziarno w błoto ciska! Równie dobrze mógłby wziąć żabiego skrzeku albo i lepiej nie, bo żaby rozpleniłyby mu się na pewno.

Parobek nie zważał na drwiny sąsiadów, nie zważał na nieme zafrasowani Charłaka i robił swoje.

Nadciągnęła zima. Ścisnęły ziemię tęgie mrozy, potem wiosna przyszła ciepła

i sucha nad podziw, a po niej lato tak upalne i znojne, jakiego najstarsi ludzie nie pamiętali.

Słońce żywym ogniem paliło z nieba, kanie na darmo dżdżu wołały, kurz zasnuł pola,

zżółkła na łąkach trawa, pochyliły się żałośnie zeschłe, skurczone kłosy.

Tylko na Charłakowym błocie wyrosła bujna pszenica. Jak mur stała, dorodne kłosy prężyła ku słońcu. Gdy przyszło ją kosić, wysypała plon stokrotny.

Miał teraz Charłak dość ziarna na mąkę, dość na siew, a resztę sprzedawał pomaleńku, a choć niesprawiedliwej ceny nie brał, coś niecoś grosza uciułał.

Teraz już z większym poważaniem patrzył na swojego parobka. A ten — nic, krząta się koło swojej roboty i pogwizduje.

Gdy nadszedł czas siewów, powiada parobek do Charłaka:

— W tym roku obsiejemy piaski!

— Bój się Boga, chłopcze! Te piaski! A toż tam jak świat światem nic nigdy nie wyrosło.

— Nie lękajcie się, gospodarzu! U mnie wyrośnie.

Nie sprzeczał się Charłak, bo już się przekonał, że jego parobek ma tęgi łeb na karku, ale sąsiedzi kpili na potęgę, gdy Charłak z parobkiem wyjechali we dwa pługi na to wywiewisko.

Zaorali. Zasiali. Dobrze.

Tego lata deszcz padał nieustannie. Błękitnego nieba nie dojrzał ani skrawka, słonecznego promienia nie uświadczył. Szare strugi pluskały bez przerwy o kałuże, bębniły w dachy domów, ściekały po płotach i pędziły rozmytym gościńcem, po którym wóz by nie przejechał. Charłakowe bagno wraz z całą wielką trzęsawą zmieniło się w jezioro, zboże na polu wygniło, tylko na piaskach obrodziło pięknie. Znowu zebrał Charłak sto ziaren za jedno.

Dziwowali się sąsiedzi.

— Skądże twój parobek wie, jaka latoś będzie pogoda? Ano wiedział. I to, i dużo różnych rzeczy.

Na trzeci rok zakrzątnął się parobek i pewnej burzliwej nocy poprzenosił błoto z moczaru na piaski, a piasek na moczar. Niezły pas gruntu użyźnił, niezły pas gruntu osuszył, całą ojcowiznę Charłakową zdatną pod uprawę uczynił.

Pewnie, że taka robota nie na człowieczą była miarę i kiedy Charłak, rano wstawszy, jej skutki zobaczył, już o nic swego parobka nie pytał, nic mu nie nakazywał, tylko obchodził

go ostrożnie z daleka, spluwając od uroku i żegnając się nabożnie.

A parobek swoje robił. Uprawił wszystkie morgi Charłakowe, pszenicy nasiał, jęczmienia, żyta, ziemniaków nasadził. Starczyło miejsca na groch i na kapustę...

Urodzaj przyszedł wspaniały. Jak rzadko.

Miał Charłak pełny spichlerz i stodołę i już nie był właściwie Charłakiem, choć jeszcze go tak ludzie z przyzwyczajenia nazywali. Ubrany chodził dostatnio, syty, nic nie brakowało ani jemu, ani żonie i dzieciom jego.

Tymczasem skończyły się trzy lata służby Czarnego Licha.

Nastała noc księżycowa, pierwsza noc po pełni wrześniowej, kiedy księżyc już ubywać zaczął.

Wisiał wysoko na niebie i ziemię całą zalewał potokami błękitnego światła, tak jasnego, że szpilkę by znalazł na drodze, a tak zwodnego, że prawdziwych kształtów by nie rozeznał, choćby najbardziej były znajome.

Wyszedł parobek Charłakowy za próg chaty, o ziemię się uderzył, prawdziwą swoją postać na się wziął i ku rodzinnej trzęsawie śmignął.

A tam, między krzakami iwy i wikliny, między błotnym zielem rozrosłym jak krzaki, nad brzegiem czarnego jeziorka zarosłego sitowiem i rzęsą, tańczyły wszelakie stwory: Wiły, Boginki, Nocnice, Leśne Dziady i Biesy przeróżne. Plątały się we mgle księżycowej w długie korowody, zwijały się w koła, kręciły się, wirowały, wyskakiwały w górę, a błędne ogniki płonęły im nad głowami jak ogniste wianki. Topielec wylazł z wody, usiadł na krzywym pniu starej wierzby-czarownicy, z gałązki wierzbowej piszczałeczkę sobie ukręcił i przygrywał do tańca, żabimi palcami po dziurkach piszczałki przebierając, w srebrną tarczę księżyca zapatrzony. Stanęło Czarne Licho przed Topielcem, pokłon mu należny oddało.

— Jestem — powiada. — Skończona moja służba. Topielec niespiesznie wzrok od

księżyca odwrócił.

— Jesteś? No, dobrze. Możesz zostać z nami. Idźże i tańcz, póki srebrny miesiączek nie zblednie, póki świt nieba na wschodzie nie rozpali.

Ale Czarne Licho w głowę się drapie, z kopyta na kopyto przestępuje wielce frasobliwie.

Pyta Topielec.

— Czego chcesz jeszcze?

— Panie nasz władny! Dałem temu człowiekowi dobrobyt. Skradziony kawałek chleba po tysiąckroć mu zwróciłem. Ma to tak zostać?

— Czegóż chciałbyś więcej ?

— Figla mu spłatać na pożegnanie! Takiego małego, niewinnego figielka, w jakich Biesy się lubują!

— Byłeś nie zepsuł własnej pracy.

— Nie zepsuję.

Klasnął Topielec w zielone dłonie.

— Pójdźcie tu, wszystkie Biesy!

Od razu przerwały taniec. Zbiegły się do pnia krzywej wierzby Boginki i Wiły, Nocnice i Strzygi, wyciągają szyje, pochylają głowy... Powiada im Topielec:

— Tak i tak.

Dopieroż cały tłum pocznie rżeć, piszczeć.

— Pozwól mu! Pozwól! Pozwól! Klasnął się Topielec po zielonym udzie.

— Dobra nasza! Zła Psota psocić musi, inaczej by sobą nie była. Spłatajże swemu

gospodarzowi na pożegnanie figla, ale sprytnego, żebyśmy się ciebie wstydzić nie potrzebowali.

A Czarnemu Lichu oczy pełgają niby dwie jarzące świece.

— Nie bójcie się! Już ja jemu coś dobrego obmyślę!

Pozostał Odmieniec do świtu ze swoimi. Tańczył, aż się zasapał, przyśpiewywał, aż

zachrypł. Dopiero kiedy obłoki na wschodzie różowieć zaczęły, uderzył w ziemię

koźlim kopytem, w powietrze się uniósł i prosto do Charłakowej zagrody poleciał.

A Charłak spał spokojnie i nic o niczym nie wiedział.

Nazajutrz z rana mówi parobek do Charłaka:

— Gospodarzu! Służyłem wam wiernie i nic za swoją pracę nie brałem. Ale na

pożegnanie prosiłbym o zapłatę, bo już teraz w świat powędruję.

Choć ten parobek bogactwo mu przyniósł, wolał go Charłak nie zatrzymywać. Rad był w głębi duszy, że tamten pójdzie sobie. Ale wynagrodzić go pragnął tym bardziej. Powiada tedy:

— Słuszna sprawa. Przysporzyłeś mi dobra, chętnie ci z niego udzielę. Ile chcesz?

— Niedużo — niemało. Korzec żyta. Zdumiał się Charłak.

— Cóż ci przyjdzie z ziarna? We świat ze sobą korca żyta na plecach nie poniesiesz.

Zaśmiał się parobek.

— Ależ nie! Tu mi nasypcie, w tej izbie, koło komina. Kocioł też co największy pozwólcie.

Będę warzył.

— Z tego żyta? I cóż to będzie?

— Zobaczycie.

Zabrał się parobek do roboty. Żyto zalał wodą źródlaną z takiego źródła, co nigdy nie słyszało piania koguta, potem w kotle warzył i prażył, cedził, dolewał, przelewał, a nikomu przez ramię zajrzeć nie pozwolił. W tajemnicy sprawę chował.

Po niejakim czasie Charłaka zaprosił i na stole przed nim flaszkę płynu dziwnego postawił.

Przezroczyste to było jak woda, a ostro pachnące.

Pyta Charłak:

— Cóż to takiego?

A parobek białe zęby szczerzy w uśmiechu.

— Napój taki.

— Toż nie kwas chlebny ni miód, ani piwo.

— Pewnie, że nie! Coś o wiele lepszego. Z przyglądania się nie posmakujemy. Skosztujcie.

Przyniósł parobek dwa kieliszki i ów płyn przezroczysty leje. Wziął Charłak kroplę na język.

— Gorzkie. Pali.

— Łyknijcie więcej. Łyknął Charłak. Splunął.

— Tfu! Paskudztwo! Zmartwił się parobek.

— A ja myślałem, że coś dobrego warzę! Czyżby się nie udało? Zróbcie łaskę,

gospodarzu, łyknijcie jeszcze. Może wyda się lepsze. Łyknął Charłak drugi kieliszek.

— Wypijmy jeszcze.

Łyknął Charłak po raz trzeci i dziwnie mu się zrobiło. W uszach zaszumiało, w skroniach załopotało. Wyciągnął rękę przed siebie.

— Oj, chłopcze! Co się dzieje?

— A bo co?

— Chata się kręci! W kółko wiruje!

— Nie kręci się! Stoi, jak stała.

— Ależ kręci się, mówię tobie! Podeprzyj ściany, bo jeszcze runą i nas przywalą!

— Nie kręci się. To tylko tak się wydaje. Mnie też się wydaje.

— Cóż takiego?

— Że jestem w mojej rodzinnej trzęsawie i wodzę ciebie po niej razem z koniem i wozem! Hu, ha!

Oprzytomniał trochę Charłak ze strachu, bo zrozumiał, z kim ma do czynienia.

A ów Odmieniec chichocze i powiada:

— Żeby nas zwidy nie męczyły, wypijmy jeszcze po jednym. Wypił Charłak i zwalił się pod stół.

A Czarne Licho popatrzyło na niego, zaśmiało się urągliwie, swój przeklęty napój z kotła we flaszki porozlewało, flaszki na stole rządkiem ustawiło, a samo przez okno śmignęło i tyle go widzieli.

Charłak zasię spał pod stołem do wieczora, gdy zbudził się — obrzydliwie mu było w

żołądku i ciężko na sercu.

Taki był dar pożegnalny Czarnego Licha.

**Kwiat paproci (2)**

Dawno, bardzo dawno rósł ogromny las, otoczony ze wszystkich stron bagnistymi

łąkami. U stóp prastarych sosen, dębów 1 jodeł tłoczyły się krzewy i zioła tak gęsto, że

trudno było przecisnąć się między nimi. Z moczarów dookoła unosiły się mgły i otulały

drzewa, a wśród ponurych mroków leśnych rozlegał się ryk dzikich zwierząt.

Ludzie mówili, że ten las jest zaklęty. Zdarzyło się kiedyś, że pewien chłopak, który

wracał z jarmarku wieczorem, zabłądził w owym lesie. Ten chłopak nazywał się Dzięcioł.

Był to leń i próżniak. Zamiast wziąć się do roboty, marzył tylko o tym, żeby zdobyć

bogactwo jakimś czarodziejskim sposobem.

Kiedy spostrzegł, że jest w zaklętym lesie i nie wie, którędy z niego się wydostać,

ogarnęło go przerażenie i pot wystąpił mu na czoło. Dookoła ciemność, posępny szum –

czasem przedrze się między gałęziami słaby promień księżyca i zaraz gaśnie. Ani drogi, ani

żywego ducha — brrr...

Dzięcioł przedzierał się przez zarośla, żeby wydostać się z lasu jak najprędzej i drżał ze

strachu jak w gorączce. Wtem dostrzegł w ciemnościach światełko. “Ktoś tu widać

mieszka", pomyślał, “albo chłopaki, co pasą konie, rozpaliły sobie ognisko na polanie.

Nareszcie nie będę sam".

Spieszył w kierunku światełka. Ale kiedy zobaczył je z bliska, przestraszył się jeszcze

bardziej. Bo to był dziwny, bladawy płomień, dołem niebieski i górą czerwony. Palił się w

kotlince, biegł chwilami po ziemi i chwiał się przy tym. Nie zapalały się od niego suche

gałęzie ani mech, ani nic; płomyk palił się cicho, jakby wychodził spod ziemi i świecił jakoś

złowrogo.

Dzięcioł zaczął uciekać. Raz po raz oglądał się trwożnie i przekonał się, że nie jeden, ale

kilka takich płomyków biegnie za nim i ściga go jakby widma jakie.

Przedarł się przez krzaki na skraj lasu i gnał skacząc nad bagnem z kępy na kępę, o mało

się nie utopił. Wreszcie udało mu się wydostać na czyste pole, skąd widział już światła

swojej wioski.

Nazajutrz opowiedział sąsiadom, co mu się przydarzyło.

— E, przywidziało ci się ze strachu — powiedział jeden. — Skąd by się jawiły takie ognie?

Uderzyłeś pewno głową o pień po ciemku i skry sypnęły ci się przed oczami, jak to bywa,

kiedy człowiek dostanie w łeb.

— Nie mówcie tak, sąsiedzie, żeby jakiego licha nie obrazić — przerwał inny. — Albo

to nie wiecie, że po cmentarzach i pustkowiach palą się takie zaklęte światła? To upiory

daremnie szukają spokoju, a czasami zwodzą ludzi umyślnie.

— A ja wam mówię, że tam był skarb zakopany! — zawołała starucha, o której szeptano,

że jest czarownicą. — Jakby Dzięcioł nie uciekł, tylko oznaczył to miejsce jakim kołkiem

czy kamieniem, mógłby tam wrócić i znalazłby takie bogactwo, że wystarczyłoby mu

go do końca życia.

Odtąd chłopak nie miał spokoju. Wciąż przemyśliwał o zaklętym lesie, o dziwnym

płomyku i o skarbie. Jak się do niego dobrać? Bał się tam wrócić, a coś go ciągnęło.

Chodził tak któregoś dnia po swoim dziedzińcu i dumał, wtem coś w studni zaszumiało

i wyskoczył z niej cień nie cień — sam diabeł.

Na peruce z warkoczykiem miał nasadzony trójgraniasty kapelusz, a spod kusego

fraczka wystawał mu ogon.

— Ojej — wrzasnął Dzięcioł — a to co za jeden?

— Nie bój się, chłopcze — przemówił diabeł spokojnie. — Ja sobie chodzę po okolicy,

bo mój pan kazał mi nakupić jak najwięcej dusz.

— Jakich dusz?

— Takich, jakie się trafią: dusze pijaków, nierobów, złodziejów, jak się zdarzy.

— Czemuż to od samych nicponiów waść dusze kupujesz?

— Bo porządni ludzie nie chcą mi swoich dusz sprzedać.

— Dużo za nie waść płacisz? — dopytywał się Dzięcioł dalej.

— Ho, ho, pieniędzy nie żałuję! Dla mojego pana pieniądze to jak trociny, tyle ich ma.

Zapisz się do nas na wieczną służbę, to i tobie nie zabraknie złota.

— A ile byście mi dali za moją duszę? — zapytał Dzięcioł rozłakomiony.

— Dam ci skarb zaklęty w lesie — obiecał diabeł.

Dzięcioł zawołał:

— Zgoda! Przynieś mi ten skarb.

— Nie, to ty sam musisz go wykopać — powiedział diabeł. — Ale ja ci doradzę, jak

masz się do tego wziąć. Tylko wpierw przysięgnij, że twoja dusza będzie moja.

— Przysięgam! — zawołał Dzięcioł nie myśląc o tym, co mówi i że sam siebie gubi na

wieki, tak go chciwość zaślepiła.

— No to idź do czarownicy, która mieszka za wsią w chatce na uroczysku. Powiedz jej,

że ja cię przysyłam, a ona ci wytłumaczy, co masz zrobić.

To powiedziawszy diabeł podskoczył, wywinął koziołka w powietrzu, grzmotnął się o

ziemię, aż płomień buchnął. I znikł.

Nazajutrz skoro świt poszedł Dzięcioł do czarownicy. Mieszkała ona w chatce na

pustkowiu. Dookoła piasek i kamienie, tylko z rzadka to oset rośnie, to piołun. Na dachu

kraczą wrony i kruki.

Dzięcioł cisnął w nie kamieniem, ale kamień odbił się od dachu i uderzył go wv czoło, a

inne kamienie, te, które leżały przy drodze — wyśmiewały się z chłopaka, że nie trafił.

Dzięcioł wpadł w złość i zaczął te kamienie kopać nogami i deptać. Wtem ktoś

zaskrzeczał z góry:

— Nie krzywdź moich dzieci!

Dzięcioł podniósł głowę zdziwiony i zobaczył czarownicę, która krzyczała na niego

wyglądając z komina:

— Jeżeli masz do mnie sprawę, to rozbierz się, włóż ubranie na wywrót i wleź do chaty

na czworakach tyłem!

Dzięcioł tak zrobił. W chatce czarownicy fruwały same skrzydełka, a główki z

dziobkami siedziały na żerdkach. Wszystko to szczebiotało i piszczało aż strach.

— Cicho mi tam! — wrzasnęła czarownica na ptaki i zapytała Dzięcioła: — Czego chcesz?

Chłopak powiedział, z czym przyszedł. Czarownica nie chciała o niczym słyszeć, póki

Dzięcioł nie odbędzie trzech prób.

— Najpierw masz mi nanosić tyle wody na paznokciu serdecznego palca, żeby to

wiadro było pełne — rozkazała.

Dzięcioł poskrobał się po głowie i.zaczął nosić wodę na paznokciu. Nosił trzy dni,

upadał ze zmęczenia, ale napełnił wiadro.

— Teraz zbieraj piasek przed moją chatą, ziarnko po ziarnku, i ustaw mi z niego słup

wysoki aż pod sam komin. Ale uważaj, żeby wiatr nie zwiał ani jednego ziarnka!

Dzięcioł taki był chciwy skarbu, że i to potrafił zrobić.

— Teraz idź do lasu i policz, ile w nim jest liści — kazała czarownica.

.Jakże to zrobię, żeby się nie pomylić i nie opuścić ani jednego listeczka?", myślał

Dzięcioł zafrasowany. Usiadł pod drzewem i dumał, a im dłużej myślał, tym bardziej

rozumiał, że temu zadaniu nie podoła.

Wtem usłyszał nad sobą pisk i zobaczył gniazdo sikory. To jej pisklęta dopominały się o

jedzenie. Dzięcioł był rozdrażniony i z tej złości chciał zrzucić na ziemię gniazdo z

pisklętami.

Ale sikorka zawołała:

— Nie rób tego, zmiłuj się, bo mi dzieci pozabijasz! Oszczędź je i odejdź spokojnie, a ja

ci się odwdzięczę.

— Dobrze — powiedział Dzięcioł. — Policz, ile jest liści w lesie, to nie zrobię wam nic

złego i odejdę.

Sikorka zwołała wszystkie ptaki leśne. Jak zaczęły razem z nią liczyć, to już po godzinie

skończyły.

Sikorka przyfrunęła do swego gniazdka i zaszczebiotała:

— Liści w lesie jest milion milionów i jeszcze połowa tego i jeszcze ćwierć tej połowy.

Kto nie wierzy, niech sam policzy i sprawdzi.

Dzięcioł wrócił do czarownicy, a ta go pochwaliła:

— Zuch z ciebie. Ja wiem, że liści jest właśnie tyle, ile mówisz. Teraz powiem ci, w jaki

sposób możesz znaleźć skarb. Weź łopatę, siekierę i worek, a także białą chusteczkę. Idź w

wigilię świętego Jana do lasu, rozłóż chusteczkę pod paprocią i czekaj. Nie zaśnij aby i nie

bój się, kiedy będą ci się ukazywać przeróżne strachy. Patrz uważnie na paproć, bo ona tej

nocy zakwitnie, otworzy się na niej jakby gwiazdka świecąca. Nie dotykaj tej gwiazdki, tylko

strząśnij ją ostrożnie na chusteczkę i zawiń starannie. Będziesz wtedy panem skarbu. Jak

się to stanie, tego ci nie powiem, przekonasz się sam. Ale pamiętaj, żebyś się za siebie nie

oglądał, kiedy będziesz niósł skarb do domu, bo pieniądze zamieniłyby się w trociny.

Dzięcioł z wielką niecierpliwością doczekał się wigilii świętego Jana, kiedy to obchodzą

sobótki. Wtedy poszedł do lasu, chociaż bał się okropnie. Noc była ciemna. To sowa

huczała mu nad głową, to skrzeczały żaby na bagnach, to wilki wyły w głębi lasu, to wąż

zasyczał w krzakach... A wicher szamotał gałęziami drzew, które szumiały złowrogo.

Przerażony Dzięcioł rozłożył chusteczkę pod paprocią, zaczaił się i czekał.

Nagle wszystko ucichło. Cały las jakby zamarł, a na jednej z łodyg paproci zapłonęła

prześliczna gwiazdka. Dzięcioł ukląkł i ostrożnie potrząsnął paprocią. Gwiazdka

zamigotała, ale nie spadła. Potrząsnął drugi raz — spadła na listek, stoczyła się po nim jak

iskra i zawisła na krawędzi. Potrząsnął trzeci raz — gwiazdka spadła na jego chustkę.

Chłopak chwycił chustkę za wszystkie cztery rogi, zawinął ją prędko i schował w

zanadrze. Wtedy coś dziwnego zaczęło z nim się dziać, jakby mu spadła z oczu zasłona,

jakby mu się one otworzyły na wszystkie tajemnice przyrody.

Rozumiał już teraz, co wyje wilk i co skrzeczą żaby, rozumiał nawet szum wichru i

migotanie gwiazd na dalekim niebie. Czuł w sobie jakąś moc niezwykłą. Wiedział, że odtąd

może przemienić się, w co zechce: w skałę, w roślinę czy w zwierzę, a nawet w innego

człowieka. Czuł, że będzie mógł rzucać czary także na innych ludzi.

Potrafił teraz wypatrzyć wszystko, co zaryglowano w skrzyniach czy zamurowano, czy

zakopano w ziemi. Nie przeszkadzały mu w tym nawet ciemności nocne.

Poszedł natychmiast w głąb lasu. Bez trudu odnalazł to miejsce, gdzie był zakopany

skarb. Nie bał się już teraz płomyka, który nad nim tańczył, tylko śmiało uderzył rydlem w

ziemię.

Wtem ziemia zadrżała jak żywa, a w jej głębi coś jęknęło głucho, jakby chciało ostrzec

Dzięcioła: “Nie rób tego, chłopcze!"

On nie zważał na nic. Odrzucił ziemię i drugi raz uderzył łopatą. Wtedy cały las

zagrzmiał straszliwym rykiem, piskiem i wyciem, jakby odezwały się naraz wszystkie

zwierzęta leśne.

Dzięcioł zadrżał i włosy zjeżyły mu się na głowie. Ale uderzył łopatą po raz trzeci.

Wtedy usłyszał tętent tysięcy kopyt, rżenie i kwik koni, dudnienie wozów, trzaskanie

biczów i okrzyki:

— Z drogi, bo cię przejedziemy!

Ale Dzięcioł nie zapomniał, co mu powiedziała czarownica, kopał dalej, choć serce

zamierało w nim ze strachu.

Syczały na niego węże i oplatały mu się dookoła ramion. Smoki szczerzyły zęby i ziały

ogniem z paszcz. Olbrzymy jak dęby groziły mu maczugami. Ale Dzięcioł, oblewając się

potem, kopal póty, aż łopata szczeknęła o coś twardego.

Buchnął płomień i zgasł. Księżyc wyjrzał zza chmur. W lesie zrobiła się taka cisza,

jakby nie było przed chwilą tych wszystkich strachów i hałasów.

W promieniach księżyca błysnęła w dole pokrywa ogromnego kotła. Dzięcioł zeskoczył

w głąb dołu. Kocioł był szczelnie zalutowany. Dzięcioł musiał rozbić go toporem.

A wtedy błysnęły mu złote dukaty.

Czerpał pełnymi garściami i nasypał do worka tych pieniędzy, ile tylko mógł udźwignąć.

Potem zasypał dół ziemią dla niepoznaki, bo chciał wrócić kiedyś po resztę skarbu.

Zarzucił z trudem ciężki swój worek na plecy i ruszył ku domowi nie oglądając się za

siebie. Ledwo wyszedł z lasu, usłyszał za sobą tętent koni i okrzyki:

— Łapać złodzieja! Chwytać go!

Przerażony Dzięcioł co prędzej zamienił worek ze złotem w pieniek, a siebie samego w

muchomora. Pokrzykując przebiegli obok niego dzicy jeźdźcy na koniach czarnych jak

sadze i pognali dalej, błyskając szablami.

Wtedy pieniek stał się znowu workiem, a muchomor człowiekiem. Dzięcioł chwycił

worek i powlókł się dalej co sił.

Już doszedł do połowy drogi, kiedy usłyszał za sobą tętent i wrzask nowej pogoni, a

strzały z łuków zaczęły ze świstem szyć krzaki.

— Mamy go! — krzyczeli goniący. — Mierz dobrze, nie żałuj! Zabijemy go i stratujemy!

W jednej chwili Dzięcioł przemienił się w dąb, worek zamienił w barć, a pieniądze w

pszczoły. Goniąca go chmara łuczników pognała dalej, a Dzięcioł wrócił z workiem i

pieniędzmi do zwykłej postaci i powlókł się dalej.

Już był blisko swojej wioski, kiedy ze wszystkich stron huknęły strzały z muszkietów.

Chociaż nieprzyjaciół zasłaniały krzaki, Dzięcioł poznał, że jest otoczony. Rzucił przed

siebie kamień i rozlało się jezioro. On sam przemienił się w łódź rybacką, worek zamienił w

ceber z wodą, a dukaty w pływające w cebrze karasie.

Zbiegli się nieprzyjaciele z dymiącymi jeszcze strzelbami, popatrzyli na jezioro,

poszwargotali w niezrozumiałym języku i zawrócili, skąd przyszli.

Dzięcioł znowu dźwignął worek. Świtało już, więc westchnął z ulgą, bo wiedział, że

razem z nocą i strachy też przeminą.

Już Dzięcioł staje we wrotach swojej chaty, już jest we drzwiach i za klamkę chwyta...

Wtem słyszy za sobą głos Macieja, swego sąsiada:

— Hej, Dzięcioł! A pokaż no, co tam dźwigasz nocą po kryjomu!

Rzucił się Dzięcioł naprzód i zawadził workiem o hak. Usłyszał, jak worek się rozerwał,

a dukaty z brzękiem posypały się na ziemię.

Wtedy nie wytrzymał, zapomniał o przestrodze czarownicy i odwrócił się. Ukląkł i chce

zbierać rozsypane dukaty — a tu zamiast złota pełno trocin dookoła.

Przed nim stoi znajomy diabeł w kusym fraczku i śmieje się szkaradnie...

Przerażony Dzięcioł upadł zemdlony.

Leżał tak do białego dnia. Kiedy otrzeźwiał i zajrzał do worka, zobaczył w nim też trociny.

Po dukatach nie zostało ani śladu. Wziął głowę w ręce i gorzko zapłakał.

Odtąd Dzięcioł unikał ludzi i mówiono o nim, że jest “pomylony", bo wciąż tylko

mamrotał:

* Sprzedałem duszę, a gdzie moje złoto?

**Sobotnia Góra**

* Kiedyś, dawno, gdy jeszcze różne dziwy i czary działy się na świecie, żyła biedna
* wdowa, która miała trzech synów.
* Najstarszy wykierował się na organistę. Umiał pięknie śpiewać i grać, umiał czytać z
* każdej książki, nawet z łacińskiej.
* Drugi wolał służyć w wojsku. Napatrzył się i nasłuchał po świecie wielu takich rzeczy,
* o których nikt we wsi nie wiedział.
* Trzeci syn, najmłodszy, został na wsi. Orał, siał, kosił jak ojcowie i dziadowie. Ludzie o
* nim mówili:
* — Najmłodszy wdowi syn nie taki jak jego bracia. Jeden uczony, drugi bywały.
* A trzeci — zwyczajny.
* Ale Kachna, narzeczona tego najmłodszego, wolała go niż organistę i wojaka. Serce jej
* mówiło, że najpiękniejszy i najlepszy jest jej miły.
* Zdarzyło się kiedyś, że wdowa zachorowała. Złapały ją w nocy takie boleści, że zaczęła
* jęczeć.
* Synowie się pobudzili. Bardzo kochali dobrą swoją matkę. Oddaliby wszystko, byle
* tylko nie umarła. Co tu robić?
* Doktorów mało jeszcze było w tamtych czasach, a ci, co byli, mieszkali po miastach, po
* królewskich zamkach. Żaden nie pojechałby na wieś do chorego przez wody i brody, przez
* puszcze i bezdroża.
* Matka jęczy, zimny pot ją oblewa — źle!
* — Idźcie do mądrej zielarki, co mieszka pod lasem przy starej mogile — mówi do braci
* organista. — Ja tu będę czuwał przy matce.
* Bracia pobiegli po mądrą zielarkę i przyprowadzili ją do wsi.
* Patrzą, a tu brat organista stoi u wrót i czeka na nich.
* — No i co, jak tam matce? — pytają.
* — Matce pewno lepiej, bo przestali jęczeć, leżą cichuśko i śpią. Widać nic ją już nie boli.
* Baba weszła do chałupy. Dotknęła ręki chorej, pokiwała głową i mówi:
* — A juści, że nie boli, bo już nie żyje.
* Synowie uderzyli w lament, tłukli głowami o ścianę, włosy rwali garściami. Aż się
* zdziwiła stara zielarka, bo jeszcze takiej rozpaczy nie widziała. Żal jej się zrobiło
* kochających synów.
* — Słuchajcie, chłopcy — powiada — znam sposób. Taki sposób, co nawet martwego
* ożywi. Ale ten, kto się odważy iść po tę pomoc, może sam życie utracić.
* — Co nam po życiu bez matki — woła organista. — Mówcież prędzej, co to za sposób.
* — Za trzema rzekami, za trzema puszczami jest Sobotnia Góra. Na Sobotniej Górze, na
* samym wierzchołku, rośnie gadające drzewo. Na tym drzewie siedzi zaczarowany sokół,
* a pod drzewem bije źródło. Jakby który z was przyniósł wody z tego źródła, a prysnął na
* matkę choć jedną kropelkę, to by wam ożyła. Zajść i wrócić można w siedem dni. Czerpak
* na wodę tam się znajdzie.
* — Pójdziemy po wodę wszyscy! — zawołał drugi brat, wojak.
* — Czekaj, posłuchaj, co mam rzec jeszcze — powiedziała stara. — Wielu już chodziło
* na Sobotnią Górę, ale nie wrócił stamtąd nikt.
* — Czemu?
* — Trzeba iść prosto przed siebie. W tę stronę, gdzie słońce stoi w samo południe. Nie
* wolno ci się ani obejrzeć, ani krokiem zboczyć w prawo czy w lewo, bo zamienisz się w
* kamień.
* — To pójdę prosto, wielka mi rzecz — powiedział wojak.
* — Łatwa rzecz, mówisz? Ej, chłopaku, chłopaku! Ani wiesz, jakie tam strachy a okropności czekają po drodze. Jakie oszukaństwa, jakie pokusy.
* — A choćby i sam diabeł, ja się nie ulęknę — zawołał wojak. — Mało to razy zaglądałem
* śmierci w oczy? Gdzie niebezpiecznie, tam byłem pierwszy. I teraz też pójdę pierwszy.
* Wy tu czekajcie, bracia, za tydzień wrócę z żywą wodą dla matki.
* Przypasał miecz, pożegnał się i wyszedł w samo południe. Wypatrywał, gdzie padają
* cienie od drzew i wedle nich się kierował.
* Minął dzień, minął drugi i trzeci — wojaka ani widu, ani słychu. Minął tydzień, a jego
* jak nie ma, tak nie ma.
* Bracia poszli do samotnej chatki u starej mogiły, żeby się poradzić zielarki.
* — Jak go nie ma do tej pory, to już nie wróci — powiedziała mądra baba. — Zamienił
* się w kamień i tak stoi na Sobotniej Górze.
* Bracia zafrasowali się okrutnie. Wracając do domu, zaczęli się spierać, który z nich
* pójdzie teraz po żywą wodę. Najmłodszy chciał koniecznie iść, ale organista nuż urągać:
* — Co, ty? Głupiś. Twój starszy brat, dzielny wojak, nic nie wskórał, a ty myślisz, że
* potrafisz. Lepszej na to głowy potrzeba niż twoja, żeby się diabłom nie dać. Ja mam na nie
* sposób, od tego jestem organistą. Siedź tutaj, a ja pójdę. Jak kropnę święconą wodą, a
* zaklnę biesa po łacinie, to zobaczymy, czy nie zemknie z powrotem do piekła.
* Zasunął w zanadrze książkę z [kantyczkami](http://szidikur.blogspot.it/p/blog-page_5135.html)\*, wziął święconą wodę z kropidłem i poszedł.
* Minął dzień, minął drugi i trzeci — organisty ani widu, ani słychu.
* Minął tydzień, a jego jak nie ma, tak nie ma.
* Najmłodszy poszedł do samotnej chatki u starej mogiły, żeby się poradzić zielarki.
* — Jak go nie ma do tej pory, to już nie wróci — powiedziała mądra baba. — Zamienił
* się w kamień, wrósł w ziemię i stoi na Sobotniej Górze.
* Zafrasował się bardzo najmłodszy wdowi syn, że oto już drugiego brata utracił.
* Pobiegł co tchu do domu, naostrzył kosę i przewiesił ją przez ramię, zabrał bochenek
* chleba w koszyku i poszedł ku południowi.
* Pierwszego dnia przeprawił się przez pierwszą rzekę promem i przebył pierwszy bór.
* Drugiego dnia przeprawił się przez drugą rzekę łódką i przebył drugi bór, większy.
* Trzeciego dnia przeprawił się przez trzecią rzekę wpław i przebył trzeci bór, największy.
* Słońce już zachodziło, kiedy wyszedł z boru. A tu przed nim stroma góra stoi.
* Wierzchołek skryty w chmurach, dookoła czarny las.
* Ogromne buki, dęby, sosny i jodły sterczą tłumem, jakby się pięły po zboczach, jakby
* wyrastały jedne z drugich wyżej i wyżej.
* Wdowi syn zaczął się wspinać.
* Przekonał się wnet, że nie była to łatwa droga. Wszędzie spotykał przeszkody: to gąszcz
* jadowitych ziół i cierni, to rumowiska skał, całe zielone od wilgotnych mchów, to wśród
* nich gniazda żmij i różnych gadów, co wiją się i syczą okropnie.
* Przystanął przestraszony i myśli: “Przejdę, czy nie przejdę?"
* Wspomniał matkę, co leży martwa i bez zaklętej wody nie ożyje. Wiec wspinał się wyżej i
* wyżej, choć skały kaleczyły mu stopy, choć kolce szarpały mu ciało, a syczące gady
* obwijały mu się dokoła nóg.
* Wtem usłyszał za sobą wołanie:
* — Hej, człowieku, wróćcie się! Zmyliliście drogę, tam przepaść. Ja wam pokażę,
* którędy iść na wierzchołek.
* Wdowi syn już chciał obejrzeć się i zawrócić, ale w samą porę przypomniał sobie, jak
* go mądra baba przestrzegała, więc poszedł prosto dalej.
* Aż tu obok niego, po lewej ręce, staje jakiś kuso ubrany podróżny. Kłania się grzecznie
* zdejmując kapelusz z trzema rogami i mówi:
* — Przyjacielu, czy idziesz po żywą wodę?
* — Pewno, że tak — odpowiada wdowi syn.
* — No to pójdziemy razem, będzie weselej — zaprasza tamten. — Ale nie tędy, bo tu
* byśmy nogi potracili. Znam te drogi dobrze, idę nie pierwszy raz na Sobotnią Górę. Spójrz
* w lewo, jaka tam droga równa i wygodna, skręćmy w lewo.
* — Nie będę nigdzie skręcał, tylko pójdę prosto, jakem zaczął.
* — Nie bądź głupi, chodź! Posłuchaj, mądrzejszego.
* — Czy ja głupi, a ty mądry, to się jeszcze pokaże. Ty sobie idź swoją drogą, a ja wolę
* iść swoją.
* — To idź na złamanie karku! — krzyknął tamten. Zgrzytnął zębami, odskoczył na bok i
* znikł.
* Wdowi syn poszedł znów przed siebie. Tymczasem zrobiła się noc.
* Wtem chłopak słyszy za sobą trzask, szczekanie psów, wycie wilków i okropny głos,
* który szczuje na niego:
* — Huźha! Weź go, weź! Rozszarpcie go, huźha!
* Ujadanie i wycie się zbliża — coś capnęło go za nogę boleśnie...
* Już chciał się odwrócić i ciąć kosą, ale przypomniał sobie, co mówiła stara zielarka.
* Więc tylko skoczył naprzód co sił.
* Usłyszał za sobą śmiech szatański. Potem wszystko ucichło, nawet wiatr przestał
* szumieć między gałęziami.
* “No, próbowały biesy oszukaństwem, próbowały namową, próbowały groźbą, a teraz
* nagonką. Ciekaw jestem, co mi szykują jeszcze", pomyślał chłopak.
* Ledwo odsapnął, aż tu ciemności pojaśniały jakby od pożaru. Łuną rozgorzało całe niebo,
* tylko wierzchołek góry stał czarny i groźny. Po chwili płonął już cały las. Od tego pożaru
* buchał taki żar, że chłopiec bał się, czy mu się włosy nie zajmą i oczy nie wypalą.
* Drzewa padały jedne na drugie jak rozpalone głownie, strzelając iskrami zagradzały drogę.
* Obleciał go taki strach, że nogi jakby mu w ziemię wrosły. Przez chwilę nie mógł ani
* kroku postąpić.
* Ale znów stanęła mu przed oczami twarz matki, jej policzki zapadłe i bledziuśkie, jej
* zamknięte oczy i ręce złożone na piersiach.
* Przeżegnał się i skoczył w płomienie.
* Nogi grzęzły mu w żarze, gorąco zatykało dech, dym wyżerał oczy — ale on przedzierał
* się na oślep.
* Zziajany, poparzony wyrwał się wreszcie z tego ognistego piekła.
* “Popróbowały czarty zwyciężyć mnie bólem, ale nie dały rady", pomyślał. Zrobiło mu
* się przyjemnie i nabrał otuchy, choć bolały rany i oparzenia.
* Wierzchołek wydawał się tuż. Ale gdy chłopak zbliżył się jeszcze, zobaczył, że sterczy
* przed nim stroma, skalista ściana. Jakże tu na nią wejść?
* Wtem ujrzał na dole czarną jamę. “Może tędy jest przejście", pomyślał.
* Kiedy podszedł bliżej, przekonał się, że u wejścia zwinął się w kłębek smok o siedmiu
* głowach i śpi.
* Miał nadzieję, że uda mu się przekraść po cichu obok potwora. Nagle smok chrapnął
* przez sen, aż ziemia się zatrzęsła. Czy to chrapnięcie go obudziło, czy może dosłyszał ciche
* kroki wędrowca, dość, że otworzył ślepia.
* Zerwał się na pazurzaste łapy, zazgrzytał zębiskami, ryknął z siedmiu paszcz i ziejąc
* ogniem ruszył na człowieka.
* Wdowi syn nie czekał, tylko skoczył mu naprzeciw. Co kosą machnie, spada jeden
* smoczy łeb. Ostatnia paszcza już, już miała chwycić jego głowę, kiedy i ją dosięgła kosa.
* Potwór był martwy.
* Chłopak wszedł do jamy. Oj, niemiła ona była, ta jama! Straszna, czarna, pełna
* smoczego swędu i dymu siarczystego. A taka głęboka, jakby nie miała końca.
* “Nic to", powtarzał sobie chłopak. “Nic to, nic. Udało mi się zwyciężyć piekielnego
* smoka, a miałbym się przestraszyć jego pustej pieczary?"
* W jaskini było tak duszno, a jemu tak się chciało pić, że język przysechł mu do
* podniebienia. Szedł jednak wciąż po omacku naprzód, chociaż był na pół żywy ze
* zmęczenia i głodu; nie dojedzoną resztę chleba zgubił przedzierając się przez płonący las.
* Wtem zobaczył przed sobą smugę światła, które wpadało z boku przez rozpadlinę w skale.
* Zaleciała go stamtąd woń przecudna, jakby kwitły naraz jaśminy i bzy, lilie i róże.
* Spojrzał ciekawie — a tam jaskinia ogromna jak kościół największy, w niej ogród pełen
* zieleni i kwiatów.
* Pośrodku ogrodu szemrze strumyk, nad nim zwisają gałęzie drzew ciężkie od owoców.
* Rumiane jabłka, grusze złociste i pachnące, fioletowe śliwy — ach, jakże one nęcą!
* Tylko na chwilę skoczyć do tego ogrodu, napić się, zapuścić zęby w soczystą gruszkę...
* Głód szarpie i dławi, język zaschnięty kołem staje, a tuż obok takie pyszności.
* “To nic", powtarza sobie wdowi syn. “Było oszukaństwo, była namowa, był strach i ból,
* teraz przyszła kolej na głód i pragnienie. Ale ty, matuś, także wycierpiałaś niejedno, nimeś
* nas wychowała. Tak było przez całe twoje życie, a ja idę dopiero kilka dni. Nie dam się".
* I poszedł prosto dalej.
* Ściemniło się znowu dookoła. Wtem nowa jasność wpadła do pieczary.. Przez wąską
* szczelinę skalną wdowi syn zobaczył inną pieczarę. Oświetlała ją wisząca lampa złota.
* Pod ścianami stały tam otwarte skrzynie i kadzie pełne złota, srebra i drogocennych
* kamieni, które w blasku lampy iskrzyły się wszystkimi barwami tęczy.
* Chłopak tylko się roześmiał:
* — Myślicie, czarty, że jestem chciwy? Tymi świecidełkami nie uda się wam mnie skusić!
* Przeszedł obok skarbca i nawet się nie zatrzymał.
* Ale jasna smuga przegrodziła mu drogę po raz trzeci.
* Posłyszał cudną muzykę, jakby śpiew stu słowików. Skały obok niego rozsunęły się szerzej
* i zobaczył złocistą salę pełną świateł. Na miękkich kobiercach tańczyło tam dziesięć
* najpiękniejszych dziewic w sukienkach jakby utkanych z mgły.
* Kiedy dostrzegły młodzieńca, przerwały taniec. Podbiegły na czubkach paluszków do
* szczeliny i zaczęły wdzięczyć się, prześmiewać i wabić:
* — Chodź tu do nas, chłopcze, chodź! — wołały. — Będziemy tańczyć z tobą i śpiewać,
* będziemy cię częstować, a potem ukołyszemy cię do snu.
* Wdowi syn przypomniał sobie matkę, która go do snu kołysała, kiedy był mały, a teraz
* czeka na żywą wodę. Przypomniał sobie błękitne oczy Kachny, pełne łez i jej dzielny
* uśmiech przy pożegnaniu.
* Zasłonił dłonią oczy i szedł dalej. Niezadługo doszedł do wielkich żelaznych drzwi.
* Zapukał śmiało.
* Zgrzytnęły [wrzeciądze](http://szidikur.blogspot.it/p/blog-page_5135.html)\* i drzwi rozwarły się z łoskotem. Chłopiec wyszedł na świat.
* Aż oczy zmrużył od blasku. Zobaczył, że jest na szczycie Sobotniej Góry.
* Rozejrzał się ciekawie. Tak, wszystko tu jest jak zapowiadała mądra zielarka. Na nagiej
* opoce rośnie jedno jedyne, ogromne drzewo. Jego srebrzyste listki trącają się i szemrzą,
* jakby sto lir razem grało:
* Nade mną niebo wysokie,
* Pode mną źródło głębokie,
* Źródło wody żywej.
* Dziwy — dziwy — dziwy.
* Spojrzał chłopak w dół, a tam źródło bije przejrzyste. Rzucił się na ziemię i pił chciwie.
* Czuł, jak powracają mu siły za każdym łykiem żywej wody.
* Zniknęły wszystkie rany, wrzody, oparzeliny. Głód minął także.
* Wdowi syn zerwał się na nogi wesoło i rozejrzał się.
* Wschodziło słońce. Oświetlało blaskiem różanym piękny świat w dole, otulony złocistą
* mgiełką: lasy, pola, łąki, wioski, rzeki, zamki rycerskie na wzgórzach, miasta z wieżami
* kościołów i basztami murów obronnych.
* Patrzyłby długo na ten piękny obraz. Ale nie zapominał ani na chwilę, po co przyszedł.
* Zafrasował się: w co nabierze wody?
* Wtem spadł mu na ramię z wysoka złoty sokół ze złotym dzbanem w dziobie.
* Srebrnolistne drzewo zaszumiało:
* Ułam ze mnie gałąź,
* Umocz w wodzie liść,
* Zraszaj drogę całą,
* Kiedy będziesz iść.
* Zaczerpnął wody do dzbana, ułamał gałąź ze śpiewającego drzewa. Co krok stąpił, to
* przystawał, maczał srebrne liście w żywej wodzie i kropił nią dokoła siebie.
* Gdzie tylko upadła kropla, tam zamiast kamienia stawał żywy człowiek, cieszył się i
* dziękował. Wszyscy ludzie odczarowani schodzili z góry za wdowim synem, a było ich coraz
* więcej.
* Kiedy stanął u podnóża Sobotniej Góry i obejrzał się za siebie, zobaczył cały tłum,
* jakby ogromne wojsko. Teraz dopiero zrozumiał, skąd się wzięły te wszystkie skały i
* kamienie, po których musiał się przedtem wspinać. Byli to ludzie, którzy w różnych czasach
* próbowali wejść na Sobotnią Górę, ale im się nie udało i zostali zamienieni w głazy.
* Widział w tym tłumie mężczyzn i kobiety, starców, młodzież i nawet dzieci. Jedni mieli
* na sobie kosztowne szaty, inni wyglądali na żebraków.
* Wtem z tłumu wystąpiło dwóch ludzi: wojak z mieczem u boku i ciemno ubrany
* organista z kropidłem. Najmłodszy poznał swoich starszych braci, a oni jego.
* Jak tamci dwaj dziękowali mu za uwolnienie, ile było przy tym radości — trudno opisać.
* Wszyscy wznosili okrzyki na cześć swego wybawcy:
* — Niech żyje!
* — Myśmy twoi, króluj nam!
* — Gdzie ty będziesz, tam i my!
* Chociaż się bronił, chwycili go na ramiona i nieśli go tak spory kawał drogi. Inni
* wiwatowali dalej, wyrzucając w górę czapki.
* Byli wśród nich myśliwi, ci polowali w puszczy, żeby tłum miał co jeść. Wieczorem
* pieczono zwierzynę przy ogniskach. Kobiety i dzieci zbierały jagody po drodze.
* Na trzeci dzień doszli do wioski, w której mieszkała wdowa.
* Najmłodszy syn otworzył drzwi chaty. Wszedł i zbliżył się o posłania, na którym leżała
* nieżywa matka. Umoczył srebrnolistną gałązkę w wodzie ze złotego dzbana, a gdy parę
* kropel upadło na blade ręce nieboszczki, wdowa otworzyła oczy, uśmiechnęła się i
* powiedziała:
* — To ty, synku? Jak długo spałam...
* Po chwili wstała, rzeźwa i zdrowa. Od razu zaczęła krzątać się po, chacie, jakby nigdy
* nie chorowała i nie leżała martwa.
* Dla wszystkich zaczęło się nowe życie. Na miejscu biednej wioszczyny stanęło miasto,
* w którym zamieszkali ci wszyscy, co przyszli z Sobotniej Góry. Niektórzy po sto lat albo
* i więcej stali zamienieni w kamienie, nie mieli po co wracać do siebie.
* Brat organista przygrywał w kościele i prowadził chóry. Wojak ćwiczył żołnierzy, żeby
* było komu bronić miasta.
* Na wzgórzu mieszkańcy pobudowali zamek dla swego wybawcy i króla. Wdowi syn
* ożenił się z Kachną i rządził krajem przez długie lata. Matkę wziął do siebie.
* Ale starsi bracia nie cieszyli się odmianą losu. Zazdrościli najmłodszemu.
* Szeptali między sobą, naradzali się, aż wreszcie chyłkiem, nocą, poszli w świat, byle nie
* patrzeć, jak tamtemu się dobrze dzieje i nie słuchać, jak go inni chwalą.
* Nie znaleźli szczęścia na obczyźnie. Ludzie mieli swoich organistów dość, granie
* obcego wcale im się nie podobało i kazali mu rozrzucać gnój na polu. Musiał się na to
* zgodzić, żeby nie umrzeć z głodu.
* Wojakowi powiodło się jeszcze gorzej. Posłano go na wojnę, bił się za obcych w nie
* swojej sprawie i zginął od ran.
* Tymczasem w nowym mieście wszyscy żyli szczęśliwie. Nie było w tym kraju głodnych
* wdów, ani opuszczonych sierot, ani żebrzących starców. Każdy potrzebujący miał
* pomoc i opiekę, a dbała o to matka królewska razem z młodą królową.